

Miałem to szczęście, że przeżyłem

W „wolnej” Polsce siedziałem w polskim więzieniu, które tak naprawdę grozą było równe terrorowi podczas okupacji hitlerowskiej. I to Polacy wydali na mnie surowy wyrok, że ośmieliłem się „walczyć aż do utraty życia” w Armii Krajowej. Pokolenie Kolumbów tak właśnie miało...

Z 96-letnim Wacławem Gluth-Nowowiejskim ps. „Wacek”, żołnierzem Powstania Warszawskiego i więźniem Rakowieckiej rozmawia Jarosław Wróblewski

Jaka Polska była przed wojną, jak ją pan zapamiętał?

Była cudowna. NIEPODLEGŁA! To czuło się zawsze i wszędzie. Przede wszystkim w domu, w szkole, w harcerstwie, w coraz piękniejszej Warszawie, na niezapomnianych wakacjach czy wycieczkach krajoznawczych.

Przyszła czas na intensywny rozwój odzyskanej, potężnej II Rzeczypospolitej. We wszystkich dziedzinach. Śledziliśmy z wypiekami w prasie nowoczesne myśli techniczne i naukowe (Iwowski – warszawska szkoła matematyczna), sukcesy w kulturze (triumfy Paderewskiego, Nobel dla Reymonta) i gospodarce (Centralny Okręg Przemysłowy, inicjatywy Kwiatkowskiego w Gdyni). W perspektywie tego rozwoju szukaliśmy miejsca dla siebie.

Jaki był dom rodzinny?

Duma nas rozpierała, że to nasi rodzice wywalczyli wolność, że teraz z takim oddaniem angażują się w pracy dla dobra kraju.

Mama po maturze związała się z konspiracyjną młodzieżą kielecką i dzielnie radziła sobie w żeńskiej grupie POW. Odznaczona Krzyżem Walecznych. Dla swoich dzieci Mam, jak ją nazywaliśmy, była niezastąpioną, mądrą i najczulszą matką-przyjaciółką.

Ojciec, Alojzy Gluth-Nowowiejski, był oficerem wysokiej rangi. Zawsze blisko Marszałka. Od sierpnia 1914 r. w Legionach. Przeszedł cały szlak bojowy 5 pułku I brygady. Od listopada 1918 r. żołnierz Wojska Polskiego. W 1920 r. broni Rzeczypospolitej przed nawałą bolszewicką. Kończy Szkołę Sztabu Generalnego, awansuje do stopnia pułkownika. Powołany do służby cywilnej zostaje szefem Biura Usprawnienia Administracji Państwowej w Prezydium Rady Ministrów. Kiedy wraca do wojska (w roku 1932) pełni funkcję zastępcy szefa Korpusu Kontrolerów. Odznaczony m.in. Krzyżem Virtuti Militari V klasy i czterokrotnie Krzyżem Walecznych. To niesamowity życiorys! Cieszył się przy tym wielką sympatią podkomendnych. Nie raz potrafili zrobić niespodziankę i wykrzykiwać pod oknem: „Niech żyje nasz dowódca!”.

Ojciec o swoich przeżyciach niewiele mówił, nic nie napisał. Za to chętnie opowiadał o Marszałku i kolegach. Tematami najbardziej konkurencyjnymi były natomiast przyszłość kraju, edukacja, historia, literatura piękna (zwłaszcza romantyzm). Byliśmy szczęśliwi, że mamy go na co dzień. Dlatego tak trudno było pogodzić się z jego śmiercią w wieku 46 lat w 1939 roku.

Miał pan starszych braci, jacy oni byli?

Było nas czterech; bliźniacy - Zbigniew i Jerzy, urodzili się w 1920 roku, po dwóch latach urodził się Janusz, a w roku 1926 – ja. Największym dla nas autorytetem był zawsze ojciec. Dla mnie, najmłodszego z braci, starsi często byli także wzorami do naśladowania, zwłaszcza w dziedzinie dowcipu i sportu. Nie trzeba było długo czekać na mój chichot po zabawnej scenie i próbę dorównania chłopcom w jakiejś ewolucji gimnastycznej. Ale imponowały mi również ich dyskusje po przeczytaniu poważnych książek, poleconych im przez ojca. Najważniejsze, że wszyscy kochaliśmy się i byliśmy kochani przez wspaniałych rodziców. To dawało siłę, mobilizowało do większych czynów.

Pana tata był też prezesem Legii Warszawa...

To prawda, choć wcale o to nie zabiegał. Przyznawano mu różne tytuły, ktoś go zarekomendował - i zaproponowano mu stanowisko prezesa Legii. Ojciec chętnie uczestniczył w wydarzeniach sportowych, lubił różne dyscypliny, ale brakowało czasu...

Sport był obecny w pana domu?

Mama w młodości grała w tenisa i dlatego Alojzy bywał na kortach... Później cała rodzina wyjeżdżała na narty. Moi bracia wcześniej „oszaleli” na punkcie sportu. W gimnazjum Batorego należeli już do ścisłej szkolnej reprezentacji. Pływali po mistrzowsku, bo treningi ułatwiał w podziemiach budynku 50-metrowy basen. Niestety przedkładali w szkole sport ponad naukę i dwóch braci powtarzało klasę. Spokojna acz stanowcza reprimenda ojca pomogła. W sportach zimowych Nowowiejscy też byli dobrzy. O ich zwycięstwach w konkursach narciarskich głośno było długo po wojnie.

Co pan trenował?

Najpierw cieszyłem się z sukcesów braci. Miałem naturalnie ambicję, by im dorównać. Zacząłem od treningów na pływalni Legii, gdzie regularnie spędzaliśmy czas z braćmi i całą naszą paczką chłopców i dziewcząt. Niebawem świetna trójka narciarzy przeszkoliła i mnie. Nawet parę lat po wyjściu z więzienia mogłem pochwalić się przed przyszłą żoną i zrobić salto na nartach. Byłem też zręcznym tenisistą, co dało ogólną sprawność.

Jakie wartości wpajali w domu rodzice?

W naszym domu najwyższej ceniło się to, co służyło Rzeczypospolitej i rodzinie: praca, odpowiedzialność, sprawiedliwość, życzliwość, nauka, odwaga, uczciwość, troska o słabszych. Rodzice dawali znakomity przykład i zapewniali warunki, by te wartości wpajać w życie. Mieliśmy ogromną bibliotekę, chodziliśmy do najlepszych szkół, rozwijaliśmy swoje talenty, jak np. Janusz w Szkole Muzycznej.

Wszystko to przerwała śmierć ojca w czerwcu 1939 roku i wybuch wojny...

Kiedy wybuchła wojna, miałem 13 lat. Pamiętam, jak wyły wtedy syreny. Od rana wybuchy. Braci nie było w domu. Ruszyli z Warszawy na wschód.

Kiedy się uciszyło, wskoczyłem na rower i popędziłem zobaczyć, co się dzieje w okolicy. Tam, gdzie kończyła się ulica Raławicka, panowała cisza, a pod drzewem w trawie leżał nieruchomo człowiek. Podeszedłem. Jakże zmasakrowany był ten mężczyzna! Całą drogę powrotną ryczałem jak bóbr. To był początek końca.

Co jeszcze panu utkwilo w pamięci z czasu wojny?

O, wiele było takich sytuacji – prawdziwie dramatycznych. Wystarczy przypomnieć zbrodnie niemieckie w czasie okupacji i wielką akcję odwetową Polskiego Państwa Podziemnego. I tragedię naszej rodziny. Moi bracia byli w konspiracji, w Armii Krajowej. Wszyscy trzej skończyli szkoły podchorążych i przygotowywali się do walki z wrogiem. Niestety w obławie na Forcie Mokotowskim, gdzie mieszkaliśmy, zatrzymano dwóch z nich – Zbigniewa i Janusza – zawieziono do gestapo w al. Szucha, skąd po śledztwie trafili na Pawiak. Wszelkie próby uratowania ich nie udały się. 14 kwietnia 1944 zostali rozstrzelani. W walce na Powiślu ciężko ranny Jerzy został przewieziony do klasztoru Wizytek na Krakowskim Przedmieściu, gdzie zmarł 9 września 1944 w wyniku gangreny.

Czekał pan na Powstanie?

O, tak. Czekaliśmy na ten dzień. Doskonale wiedziałem, kiedy i gdzie mam się stawić. Powiadomiła mnie łączniczka. Dotarłem na Żoliborz. Byłem dowódcą drużyny w plutonie 238 w zgrupowaniu „Żmija” (obwód II AK). Jednak wielu kolegów nie dotarło na miejsce zbiórki. Brakowało żołnierzy, brakowało broni. Ale entuzjazm i wola walki o Warszawę były ogromne. Nie odebrały nam tego ani krwawa bitwa o Dworzec Gdański (sierpień 1944), ani rzeź na Marymoncie we wrześniu 1944 r.

Podczas powstańczych walk zrobiliście wszystko, co można było zrobić?

To pytanie należałoby zadać historykom i znawcom sztuki wojennej. My wykonywaliśmy rozkazy, często bardzo niebezpieczne, z którymi nie zawsze godzili się nawet nasi dowódcy.

Pan po Powstaniu nie poszedł do niewoli, ale ranny ukrywał się do listopada 1944 roku, co opisał pan w niezwykle ciekawej książce „Nie umieraj do jutra”.

Nie poszedłem do niewoli, bo ranny podczas masakry na Marymoncie, uciekając przed Niemcami, schroniłem się w suterenie, gdzie mało przytomny trwałem ponad dwa miesiące, nieświadomy upływającego czasu. Stąd moje wielkie zdziwienie, kiedy dowiedziałem się, że Powstanie już dawno się skończyło. Suterena (z łóżkiem i wodą),... robaki (pożerające ropę z mojego łokcia) oraz przypadkowa kobieta (która tak bardzo zaryzykowała, przewożąc mnie do punktu szpitalnego) to ciąg nieprawdopodobnych i szczęśliwych zdarzeń, ratujących mi życie. Mój Anioł Stróż nie pozwolił, bym odszedł z tego świata. A to zobowiązywało.

Dawałem więc świadectwo temu, czego doświadczyło moje pokolenie. W artykułach, w wymienionej wyżej książce, w filmach – byłem m.in. współtwórcą filmów Makarczyńskiego „Sceny z Powstania Warszawskiego – sierpień i wrzesień”, „Exodus”, „Powrót”. Jako pierwszy opisałem dzieje Robinsonów Warszawskich, którzy wbrew rozkazom okupanta, nie opuścili stolicy i ukrywali się w gruzach często aż do „wyzwolenia”. Byłem jednym z nich.

Po wojnie trafił pan do więzienia na Rakowiecką...

W latach bezpośrednio powojennych nowa władza była zbyt słaba, by zlikwidować wybuch demokracji w Warszawie, kiedy radość przetrwania zdominowała trudną codzienność wśród gruzów. Wkrótce jednak nastąpiła wielka ofensywa wobec środowisk przeciwnych orientacji moskiewskiej jako wrogów klasowych, których „należało odizolować od społeczeństwa socjalistycznego”. Najpierw znalazłem się na Koszykowej, w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego. Tu skutecznie rozwiązywano problemy z opozycją. Zamykano ją w kryminałach. Na tym etapie każdy był winny. Dajcie człowieka, znajdę na niego paragraf.

Po miesiącu znęcania się nade mną śledczych opatrność okazała się znów łaskawa. Zachorowałem na żółtaczkę, co poskutkowało sześciotygodniowym pobytem w szpitalu, w łóżku z białą pościelą, bez wizyt „na górze” i bezsennych nocy. Po czym istotnie trafiłem do więzienia przy Rakowieckiej z „ósemką” do odsiadki.

Tworzył pan na Mokotowie więzienny kabaret „Radio kibelek”, zatem humor w tych ciężkich czasach pana nie opuszczał?

Powiem panu, że niekiedy w podejrzanym aktualnie sensie nie najgorzej było siedzieć w więzieniu, mając wokół siebie mnóstwo chłopców z tej samej wiary – akowców czy lotników z RAF-u. A całkiem dobrze robiło się na duszy, kiedy ich także stać było na dobry humor. Pełno miałem wykonawców chętnych do zagrania w kabarecie. Nic dziwnego, że dozorczy – zawsze smutasy – rechotali na korytarzu.

*Radio Kibelek dla każdego!
Nie zna poziomów ani klas,
dla złego jest i dla dobrego,
bo tak jak kibel jest dla mas.*

O czym rozmawialiście? Wspominaliście walkę?

Kiedy siedziałem np. „na ogólniaku”, w 80-osobowej celi, szczególnie dużo się działo. Tu najwięcej było więźniów politycznych, a więc powstańców, sporo oszustów, złodziei oraz mieszkańców wsi, broniących swoich gospodarstw przed bandytami z lasu. Stosunkowo niewielką grupę więźniów stanowiło kilkunastu niemieckich jeńców wojennych.

Najbardziej rozmowni byli powstańcy. Wiodącymi tematami były najczęściej wizje kraju i doświadczenia z walki w różnych dzielnicach stolicy. One to w największym stopniu wpływały na temperaturę dyskusji.

Nie tak miała wyglądać wolna Polska, o którą walczyliście z niemieckim okupantem?

Straciłem podczas wojny trzech braci. Nie było jednak wówczas dnia w Warszawie bez niemieckiej obławy, bez wyroku śmierci. W „wolnej” Polsce siedziałem w polskim więzieniu, które tak naprawdę grozą było równe terrorowi podczas okupacji hitlerowskiej. I to Polacy wydali na mnie surowy wyrok, że ośmieliłem się „walczyć aż do utraty życia” w Armii Krajowej. Pokolenie Kolumbów tak właśnie miało...

Kiedyś mi pan opowiadał, jak w celi na Rakowieckiej słyszał dwa strzały, które padły gdzieś w oddali. Strzały w murach więzienia oznaczały wtedy, że wykonywano na kimś wyrok śmierci...

Doskonale to pamiętam. Tego się nie zapomina.

Siedział pan w celi z chłopakami z Powstania...

Było ich wielu. Moimi największymi przyjaciółmi byli Andrzej Wolski „Jur” i Stanisław Krupa „Sznurek” z batalionu „Zośka”.

Czterdziestu żołnierzy z „Zośki” siedziało po wojnie. Czy pan opisał swoje więzienne przeżycia.

Nie.

Dlaczego?

Mam to w głowie.

Nie lubi pan do tego wracać?

Może byłem naiwny, może młody i głupi, ale nigdy nie przypuszczałem, że trafię do więzienia.

Jest pan jednak dla nas symbolem niezłomnego pokolenia, które spajało patriotyczne wychowanie, walkę z Niemcami i komunistyczne represje...

Takich osób było wtedy mnóstwo. Miałem to szczęście, że przeżyłem.

Spotkał pan kiedykolwiek któregoś ze swoich śledczych?

Tak, w latach sześćdziesiątych. W więzieniu mnie katował, ale wtedy, na Nowym Świecie, przeraził się na mój widok i czmychnął gwałtownie.

Nie ja będę go osądzać...

Napisze pan swoje wspomnienia?

Tak, spisujemy już nasze rodzinne losy, poczynawszy od czasów legionów, sięgając do Polski podzielonej przez zaborców.

W archiwum IPN znajdują się dokumenty świadczące o tym, że nie chciał pan kontaktować się z bezpieką i zerwała ona z panem wcześniej nawiązany kontakt. Może pan powiedzieć, na czym to polegało?

W 1946 r., kiedy podjąłem studia na Wydziale Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, w kraju coraz bardziej umacniał się reżim komunistyczny, zaciekle ścigający „wrogów ludu”, zwłaszcza tzw. karłów reakcji, czyli żołnierzy AK, powstańców. Bezpieka werbowwała „ochotników” wśród studentów, strasząc groźnymi następstwami w przypadku odmowy. Chodziło oczywiście o donosy na rzekomych „przestępców”.

Mnie też wybrali w takim celu i żadne „rozmowy” nie zmieniły ich decyzji. Dostarczyłem im parę razy jakiś całkiem bezpieczny tekst, który przyjmowali z wściekłością jako bezużyteczny. Krzyczeli, straszili i w końcu dali spokój, bo zmieniłem miejsce pobytu na więzienie (13.11.1948). Niemniej szczególnie dla mnie ostry rygor w więzieniu w Rawiczu skojarzyłem z „kontaktami” sprzed lat...

We wrześniu zeszłego roku odsłonił pan pomnik „Marymoncki Nieśmiertelnik” – dla uczczenia pamięci kolegów z plutonów 224. i 254. zgrupowania AK „Żmija”, poległych i pomordowanych podczas Powstania Warszawskiego w rejonie ulicy Rajszewskiej na Marymoncie. Czy uważa pan, że należałoby upamiętnić pamiątkową tablicą również powstańców więzionych i pomordowanych w mokotowskim więzieniu?

Żyjących powstańców, którzy mają za sobą więzienie, niewiele zostało. Ich opinie byłyby bezcenne. Ale warto też poznać zdanie powstańców, którym los oszczędził

takich doświadczeń. Ja osobiście przychyliłbym się do umieszczenia takiej tablicy na murze więzienia przy Rakowieckiej. Żeby nigdy więcej jakiegokolwiek władze nie odważyły się mordować swoich obywateli! Niech to będzie krzyk rozpacz, że podobne wydarzenia miały miejsce, niech to będzie krzyk – ostrzeżenie! Młodzi, dzielni żołnierze z mojej drużyny, upamiętnieni w „Marymonckim Nieśmiertelniku”, również w pełni zasłużyli na wieczną pamięć w walce z bestialską armią niemieckiego najeźdźcy. To pomnik przeciwko wszelkim agresjom!

Rozmowa ukazała się w październiku 2022 r. w 19 numerze biuletynu Muzeum Żołnierzy Wyklętych i Więźniów Politycznych PRL „Rakowiecka 37”